

OD OGNI, WODY I NIE TYLKO... CZYLI NIETYPOWE AKCJE STRAŻAKÓW

Data publikacji: 1.01.2016 19:00

Strażak, niezależnie od tego, czy ten z państwowej Straży Pożarnej, czy ochotnik, kojarzony jest głównie z gaszeniem pożarów oraz pomocy podczas innych klęsk żywiołowych. Strażacy z OSP znani są jeszcze z organizacji życia kulturalnego i społecznego na wsiach. Jednak oprócz wezwań do pożarów, wypadków drogowych, czy powodzi drухowie wzywani są także do innych, zdecydowanie bardziej nietypowych zdarzeń. Część z nich dotyczy zwierząt.

□

- Dwa lata temu zadzwonili turyści z prośbą o interwencję, bo kaczki się topią. Przyjechaliśmy na miejsce i co zobaczyliśmy? Kaczka uczyła swoje małe pływać. Podpływała z nimi pod wodospad i próbowały wyskakiwać na górę – ze śmiechem wspominają drухowie.

Przyznają jednak, że tego typu wezwania generują niepotrzebne koszty i zajmują ich czas. **- Ruszanie z garażu siedmioetonowego auta z powodu kaczek to zbędne koszty, nie mówiąc o tym, że moglibyśmy w tym momencie być gdzieś naprawdę potrzebni** - denerwują się drухowie. Jednak starają się nie ignorować żadnego wezwania. Chyba, że ewidentne jest, że ktoś robi sobie żarty. **- Jeśli w tle słyhać śmiechy czy odgłosy imprezy tak prowadzimy rozmowę, żeby dzwoniący przyznał się do żartu. Jednak dzwoniący często naprawdę są przejęci czymś, co dla nas nie brzmi zbyt poważnie.**

- Zimą nagminnie ludzie dzwonią, że łabędzie są przymarznięte. Choć czasem faktycznie się tak zdarzało, że musieliśmy odkuwać ptaki od lodu, to jednak większość alarmów w tej kwestii jest fałszywa – mówi jeden ze strażaków. **- Pół biedy, jeśli dyżurny jest na tyle przytomny, że dzwoniących prosi, by zrobili ze śniegu kulkę i rzucili w ptaki. Te najczęściej odlatują...** – mówi inny strażak. **- Kiedyś pojechaliśmy do przymarzniętych łabędzi. Faktycznie dwa ptaki siedziały. Zastanawialiśmy się, jak do nich dojść, bo nie wiadomo, jak gruby jest lód. W końcu położyliśmy na lodzie drabinę postanawiając, że spróbujemy ostrożnie, na czworakach do nich podejść. Tyle, że łabędź, jak się do niego podchodzi, jest dosyć agresywny, syczy i dziobem może zrobić krzywdę. Kolega szedł ostrożnie, aż drabina się skończyła. Oparł jedno kolano, drugie, uznał, że lód jest dość mocny, postawił jeszcze jeden krok i plum! A łabędzie w tym momencie wystraszone odleciały. Bo wcale nie były przymarznięte** – wspomina inny strażak, który od tego czasu zawsze przy zgłoszeniach o przymarzniętych ptakach każe je w pierw płoszyć już zgłaszającemu...

Strażacy przyznają jednak, że faktycznie zdarzało się im udzielać pomocy przymarzniętym ptakom. **- Najczęściej przymarznięte są skrzydłami. Często jest tak, że jak podchodzimy, to się boją i w efekcie zostawiając trochę piór w lodzie odrywają się.** Strażacy wspominają także, jak ratowali młodego łabędzia, który podczas lotu zderzył się ze słupem. **- Ktoś do nas zadzwonił, że łabędź leży pod słupem. Przywieźliśmy go do strażnicy i wezwali pracowników schroniska dla zwierząt. Po niedługim czasie już nikt nie mógł wejść do pomieszczenia, w którym położyliśmy ptaka, bo ten doszedł do siebie i się wściekał...** Przyjechał pan ze schroniska, który też nie wiedział, co z nim zrobić – wspominają drухowie przyznając, że w końcu spacyfikowali go kocem. Na pytanie ilu strażaków potrzebnych jest do pacyfikacji łabędzia w pierw chwila milczenia, a później śmiech. **- No generalnie robił to jeden z nas, ale wszyscy byliśmy duszą i sercem z nim. Każdy mu dawał dobre rady... zza zamkniętych drzwi** - wspominają. W końcu bohater wyszedł zwycięsko z szarpiącym się tobołkiem pod pachą i oddał go, oczywiście nie rozwijając, pracownikowi schroniska.

Z innych akcji związanych ze zwierzętami skoczowscy strażacy wspominają pościg za wężem, który panoszył się w sklepie żelaznym. **- Potraktowaliśmy go gaśnicą śniegową. Nic mu się nie stało, ale na moment zdrętwiał i dzięki temu mogliśmy go bezpiecznie złapać i wsadzić do głębokiej beczki** – relacjonują przebieg akcji.

Wezwania by ściągnąć z drzewa koty zdarzają się w naszym regionie rzadko, jednak kilka takich wypadków utkwiło druhom w pamięci. – **Pamiętam jedną panią, która tak bardzo kochała swojego kotka, że uszyła mu wełniane ubranko, by zwierzak nie marzł. Tyle, że jak wylał w tym na drzewo, to zawisł na kubraczku na gałęzi. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce biedny zwierzak wisiał na sporej wysokości i dość komicznie machał łapkami...** – wspomina jedną z akcji cieszyński strażak. Jak się okazuje, nie tylko drzewa mogą okazać się pułapką dla domowych mruczków. – **Kiedyś w Hermanicach wyciągaliśmy kotka z... komina. Był naszą akcją tak przerażony i spanikowany, że gdy w końcu, po długiej akcji, wypuściliśmy go z wyciora, to w panice wybiegł na drogę i o mało by go samochód nie przejechał... O mało nie było tak, że myśmy ponad godzinę kombinowali, jak go wyciągnąć, a on zginąłby w pięć sekund. Zadanie nie było łatwe. Komin był spory, miał ponad trzydzieści metrów. Kocur wpadł do komina z dachu. A wyciągaliśmy go przez wycior, czyli otwór do czyszczenia komina usytuowany na dole komina. Zwierzak przemierzył więc cały komin... Słyszeliśmy go dużo wcześniej, ale wyciągnąć nie było wcale łatwo. Kot nie ucierpiał. Tylko nieco zmienił kolor...** – opowiadają ze śmiechem strażacy.

Bywało także, że strażaków wzywali pechowcy, którzy... zatrzasnęli się w mieszkaniu. – **W Skoczowie był taki przypadek, że babka zatrzasnęła sobie mieszkanie i siedziała u sąsiadki czekając, aż przyjedzie straż i jej otworzy** – wspomina jeden ze strażaków. – **Mniej wesoło było, gdy pewien starszy pan poszedł do łazienki i przewrócił się tak niefortunnie, że zablokował sobą drzwi. Było to na drugim piętrze. Musieliśmy wejść przez okno by go przesunąć. Biedny dziadek był przerażony. Nie wiedział, co się dzieje. Nagle trzask, rozbija się szyba i przez to małe okienko potwór w hełmie...** – wspomina jego kolega. Ten przynajmniej był normalnych gabarytów. Strażacy odsunęli go nieco od drzwi, by mogło dojść pogotowie.

Często jednak to właśnie pogotowie prosi ich o pomoc w wynoszeniu pacjentów ważących grubo ponad sto, albo i dwieście kilo. – **Osobiście przypominam sobie dwa takie przypadki. Jeden był mieszkańcem Ustronia, drugi to najprawdopodobniej jakiś turysta, gdyż wynosiliśmy go z jednego z domów wczasowych. Obaj ważyli chyba po dwieście kilo. Ten turysta zasłabł na samym końcu dużego budynku i aby donieść go do karetki, trzeba było pokonać kilkadziesiąt schodów. Nieśliśmy go chyba w piątkę czy w szóstkę. Ale na klatce schodowej nie ma szans, by nosze niosło więcej niż cztery osoby, bo się nie zmieszczą. Jest to duży problem. Trzeba nosze z delikwentem unieść, obrócić się z nimi i jeszcze uważać, żeby na schodach pacjent z noszy nie spadł...** – wyliczają trudności strażacy. – **Pomagamy także pogotowiu w innych przypadkach. Niekoniecznie musi to być osoba „wielkogabarytowa”. W zimie często jest tak, że karetka dojeżdża tylko do pewnego miejsca, do którego pacjenta trzeba znieść.** – Kiedyś też pogotowie poprosiło o pomoc w załadowaniu do karetki szaleńca. Poszło nas do tego mieszkania trzech najsilniejszych i mieliśmy spory kłopot, by gościa w kaftan ubrać... - wspominają.

Strażakom zdarzało się także pomagać policji. – **Kiedyś złodziej chciał obrobić kasę na PKS-ie w Wiśle. Policja go złapała, ale okazało się, że... właściwie to złapał się sam. Policjanci też nie mogli go wyciągnąć, więc zadzwonili po nas, żebyśmy przyjechali i wycieli go z krat, pomiędzy którymi się zaklinował... A jaką miał minę! Wpierw przyjechała policja, później my. Każdy najpierw go oglądał. Oczywiście padały odpowiednie komentarze...** – wspominają historię pechowego złodziejaszka strażacy. Przyjechali na miejsce około piątej rano, a jak długo złodziejaszek tam tkwił nie wiadomo. Było to już z kilkanaście lat temu, ale historia jest tak zabawna, że wciąż opowiadana. Dużo precyzyjniejsze zadanie przypadło w udziale cieszyńskim strażakom, którzy zostali wezwani by uratować trzylatka, którego paluszek utkwił w otworze odpływu zlewozmywaka.

Mniej wesoło było, gdy o pomoc strażaków poprosili pracownicy stacji diagnostycznej w Ustroniu. – **Był upalny lipiec. A kierowca wiozący cysterną odchody z kurzej fermy miał jakąś awarię i mu się nieco rozlało akurat naprzeciwko stacji diagnostycznej. Jej pracownicy błagali, byśmy przyjechali i coś zrobili, bo nie są w stanie wytrzymać tego smrodu. Przyjechaliśmy. Smród był faktycznie niewyobrażalnie potworny. Płukaliśmy drogę ponad pół godziny przy zamkniętym obustronnie ruchu, nim względnie dało się tam wytrzymać. Nie wylało mu się tego dużo, może z dwieście litrów, ale efekt awarii był naprawdę niezwykle dotkliwy dla ludzi muszących przebywać w tamtej okolicy** – wspominają strażacy.

Czasami dziwne, by nie powiedzieć zabawne przygody spotykają podczas akcji samych strażaków. – **Kiedyś, gdy były podtopienia, pojechaliśmy do Wisły do zalanego domu wypompowywać wodę. Weszliśmy do zalanego garażu, gdzie wody nie było zbyt dużo, ale też nie była zbyt czysta. Pływały deski... Pomyślałem, że jak są deski, to chyba jest kanał i mówię do kolegi „uważaj”. „Co?” zapytał i... zniknął. Wtedy po zalanym garażu pływały deski i jego czapka...** – wspomina jeden z druhów.

Informacje o tego typu nietypowych akcjach pojawiały się już na naszym portalu. Pisaliśmy m.in. [Wlazł na stół i osłupiał...](#)

(indi)